



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ingeborga Bronsart.

Ingeborga Bronsart, pochodząca z wyższej sfery szlachety szwedzkiej, urodzona w 1840 r., w dzieciństwie już okazywała wielkie zamiłowanie muzyki i gdy matka, także wielka jej lubowniczka siadła do fortepianu, dziewczeczka biegła natychmiast, aby słuchać, porzucając choćby najweselejszą zabawę z rodzeństwem, a gdy potem już starsza uczyć się muzyki zaczęła, oderwać jej nie było można od tego ulubionego zajęcia, nieraz też z tego powodu gromiona a nawet na pokutę skazywana była w skutek zaniedbywania innych obowiązków. Spiew ptaków zachwycał ją również; skoro tylko usłyszała słowika w ogrodzie, wkradała się tam natychmiast, poświęcając temu koncertowi kolacyę, aż zamiłowanie to wybitniejsze z każdym rokiem, nakazywało rodzicom zajęcie się tym talentem wrodzonym, który wróżyć kazał rozwój niepospolity, zwłaszcza że gdy starsza jej o dwa lata siostrzyczka, Oliwia, zaczęła brać lekcye muzyki, ona siedmioletnia wtedy, przyszła do matki ze łzami w pięknych błękitnych oczach, bo dodać trzeba że uroda jej jest niepospolita, prosząc aby i ona szczęścia tego dostąpić mogła.

Zamiłowanie to ukochanej sztuki nie pochłonęło jej przecież całkowicie. Można powiedzieć słowami naszego poety, że potrzebowała „kochać, wierzyć, czuć bez miary,” a na szczęście okoliczności jej życia nie stawały tu w poprzek i wyższe wykształcenie, jakie otrzymała, dając podnioslejszy połot myślowi, oddziaływało i na szlachetniejsze pojęcie artysty, jego celów i zadań wśród ludzkości. Rodzice zrozumieli też, że talent to skarb drogocenny, po kilkoletniej nauce muzyki, pobieranej według

możliwie najlepszych warunków miejscowych, matka przeniosła się z nią i córką starszą do Wejmaru, aby spełnić się mogło namiętne pragnienie Ingeborgi: studyowanie dalsze ukochanej sztuki pod kierunkiem Liszta, który poznał odrazu, że ma przed sobą talent wyższy i po pierwszej leceyi rzekł, ścisnąc rękę dziewczęcia: „Kto wie, czy nie staniesz się pani Jerzym Sand muzyki.

Przecież obok tego Ingeborga była wesołą i żywą dziewczką. Gdy raz odegrała przed mistrzem jakąś własną kompozycyę, on patrząc na nią jaśniejącą wdziękiem młodocianym, rzekł: „Nie wyglądasz pani na to...” ona odpowiedziała wesoło: „Nie wyglądam na fugę... Bardzo to mnie cieszy...” i strząsnąwszy w tył bujne kędziory włosów, spadające jej na czoło, grała dalej. Liszt dwa lata był tu jej przewodnikiem i na zawsze wdzięczną mu za to pozostała. „Jemu to winnam, czem jestem — mówiła nieraz — on sprawił że nie zamknęłam się w jednej szkole, bo wzniosły i umiejący szeroko pojmuwać piękno, nauczył mnie czeić je wszędzie i pod wszelką postacią.” Grywała z nim często na cztery ręce, a talent jej zaczął już teraz dawać znać o sobie. Zapraszano ją na koncerta do miast wielkich, do Drezna, do Paryża...”

Powodzenie nie uniosło ją przecież dumą, nie porwało w świat wielki. Zamieszkała w Wejmarze, aby pracować, tworzyć, bo kochała gorąco sztukę swoją i czuła się przez nią szczęśliwą. W 1859 r., w pierwszych dniach wiosny, gdy zieloność okrywała drzewa, a pierwiosnki rozwijały wdzięczne kwiatki swoje, puściła się samotna na wędrowkę po za miasto, wywołana tam tęsknotą ową, która o tej porze budzi się w piersiach ludzi, nie mających podzielić się z kim wrażeniami tego rozkwitu natury, gdy naraz spotkała się z dawno niewidzianym, a dobrym znajomym swoim z lat młodych, przyjacielelem życziwym, który pierwszy dał jej niegdyś radę, aby obrała Liszta mistrzem swoim. Ucieszona też wyciągnęła doń rękę z radością na powitanie,

a on uściśnął ją serdecznie i oboje uczuli się niekwestionowanie szczęśliwi z tego, że się widzą, że mogą mówić ze sobą. Zwał on się Jan von Bronsart, syn rodziny zajmującej wyższe stanowisko wśród społeczeństwa swego, artysta też przytem, kompozytor znany już i uznany, dla niej przecież był to przedewszystkiem miły jej bardzo człowiek, który doświadczał również tego samego uczucia. Wrócili już razem do miasta, a on od tej chwili stał się codziennym w domu jej gościem, zajmował się mocno wszystkim, co tworzyła, dawał rady, a uczucie bliskie miłości, które niegdyś dla niej w piersi nosił, rozwinęło się teraz i ujawnić się też musiało.

Raz grała mu o zachodzącym już słońcu jeden z jego utworów, a że nie artysty tylko był jej tu natchnieniem, tony wywoływane z instrumentu przenikały do głębi kompozytora, przyszła też chwila, że uklęknął jej u kolan i wypowiedział dawno noszone w piersi, choć dotąd nie sformułowane dostatecznie uczucie. Ona wzruszona, szczęśliwa, odpowiedziała miłością za miłość, a do charakterystycznych rysów jej istoty wewnętrznej należy to, że szczęście miłości uczyniło ją naraz poetką. Gdy ukochany, a zaręczony już z nią teraz odszedł i ona została samotną, w piersi jej wstąpiło natchnienie poezyi i skreśliła sonet, zaczynający się od wyrazów: „O najpiękniejszy dniu mojego życia...”

I był to rzeczywiście dzień piękny, bo ubogacił ją nie tylko szczęściem serca, ale przez szczęście tego odczucie, rozwinęły się jak kwiaty w pączkach zamknięte zdolności jej twórcze. Małżeństwo nastąpiło wkrótce i mąż kochający ją gorąco, a który był zarazem człowiekiem zamożnym, nie pozwolił jej dawać leceyi muzyki, więc pani swego czasu zaczęła komponować muzykę najpierw do utworów własnych, potem do poezyi Bodenstedta, których melodyjność pociągała ją szczególnie, aż z kolei rozwój twórczości pozwolił jej na kompozycyę większych rozmiarów. Pierwsza jej trzy aktowa

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 30-go Czerwca.

Odbywa się tu obecnie na obszernej skale wędrówka paryżan w bliższe i dalsze strony po za miasto.

Jeżeli więc powiem, że pisać nowiny z Paryża w takiej chwili, jest trudno, to zapewne czytelnicy uwierzą mi na słowo.

Rzeczywiście zaś jest to rzecz trudna, lub bardzo łatwa, jak kto uważać zechce.

Powiedzieć coś nowego o wyższym tutejszym świecie, było by rzeczą trudną, w obec tego, że cała prawie śmietanka tutejszego towarzystwa, zaraz po wielkich wyścigach rozbiegła się po za mury Paryża.

Z drugiej znow strony zebrawszy rozmaite wypadki i zdarzenia z ubiegłego miesiąca dałaby się ulepić pokaźna korespondencya, a więc byłaby to rzecz łatwa i wielu kronikarzy ucieka się nieraz do tego środka z pomyślnym skutkiem.

Istnieje co prawda sposób, przecięcia tych trudności—nie pisać korespondencyi wcale — czego znow robić nie wypada, dawszy raz słowo przesyłania do Bluszczu nowin ze świata paryzkiego.

Ale spostrzegam się, że dużo już zapisanego papieru, a nowiny żadnej jeszcze nie ma, czas więc zakończyć wyrzekania.

Teatr jak zwykle, najwięcej dostarcza świeżych wrażeń. I w tym miesiącu nie obyło się bez wystawienia kilku nowości.

Bodaj czy nie najciekawszą z nich była sztuka młodej autorki panny Judyty Cladel pod tytułem „Le Volant.“ Wystawił ją teatr „Oeuvre“ na ostatnie swoje przedstawienie w tym sezonie. Sztuka ta żywo interesuje, chociaż widoczne są w niej usterki kompozycyji. Dar spostrzegawczy i subtelności uczuć wróżą dobrze o talencie młodej autorki.

Opera Komiczna dała też wcale ładną, trzyaktową operę Pawła Vidala, ucznia Masseneta p. t. „Guernica.“ Muzyka oryginalna i poprawna. Libreto osnute na prawdziwym zdarzeniu z powstania hiszpańskich Karlistów.

Na scenie teatru Sary Bernhardt p. Karol Léger wystawił Balladynę Słowackiego zamkniętą w 5-ciu aktach i 15-tu obrazach. Na małej scenie tego teatru niepodobna było nadać przedstawieniu wielkiej wspaniałości, charakter jednak zachowany w kostiumach i doskonała gra artystów, sztukę najzupełniej ocaliły, chociaż nie było właściwej muzyki i zamiast piosenki „Graj pastuszkę graj“ grano „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą i t. d.

Prasa tutejsza nie bardzo życzliwie sztukę przyjęła, nawet poetyckiej strony dzieła nie rozumiano, może być dla tego, że cały tekst był przerobiony prozą. „Dziadzio“ Clause Berton'a wystawiony w Théâtre-Libre także nie bardzo się podobał, chociaż był znakomicie grany. Za to jednoaktówka p. Cheureux z bohaterem w chacie łachmaniarza, gdzie następuje cudowna przemiana jego duszy przed tem zbuntowanej, bardzo się tutejszej publiczności podobała.

Hr. Rzewuski i Aleksander Parodi znany tutaj dramaturg, zapowiadają nowe sztuki na przyszły teatralny sezon.

„Brand“ Ibsena, najlepsze dzieło skandynawskiego dramaturga i myśliciela wystawione w Oeuvre nadzwyczajnie się podobało. Bohater sztuki, młody pastor pełen zapału, poświęca dla swej idei własną żonę i dziecię, w końcu opuszczony i samotny sam ginie na stanowisku, pod walącą się ławiną.

W Komedyi Francuzkiej mieliśmy także seryę nowości. Najpierw dano jednoaktówkę „Fidèle“ Piotra Wolfa doskonałą i znakomicie przez artystów wykonaną.

Dalej wystawiono legendę „Conte de Noël“ — napisaną przez M. Bouchor'a.

Nakoniec wystawiono dwa akta wierszem p. I. Normand pod tytułem „l'amiral.“ Sztuka wesola, dobrze grana, zasługuje aby się podobała.

W teatrze Cluny śmiano się i bawiono wybornie na pierwszym przedstawieniu *Małych jagniąt* operetki w dwóch w aktach z muzyką Varney'a i librettem A. Liorrat.

Z innych wiadomości ze świata scenicznego można wspomnieć o zawartem małżeństwie, niedawno owdowiałego Aleksandra Dumasa, z córką jednego z artystów dramatycznych w Paryżu.

O Loli Beeth, która swym śpiewem czarowała licznych słuchaczy w salonach gościnnego Figara.

O tem jak trybunał policyjny skazał Sarę Bernhardt na 10 fr. kary za to, że używała małych dzieci do występów w teatrze po godz. 9-tej wieczór.

Słynna artystka do swej ulubionej menażeryi, którą trzyma u siebie w domu, kupiła jeszcze wspaniałego lwa za bardzo drogie pieniądze.

Nakoniec o nieszczęśliwym wypadku jaki się zdarzył pogromicielce lwów, pokazywanych w Folies-Bergeres. Jedno ze straszliwych tych zwierząt rzuciło się na odważną kobietę, raniąc ją dotkliwie w piersi. Pomimo wielkich cierpień pogromicielka z uśmiechem opuściła klatkę, kłaniając się wyleknionej publiczności.

Po straszliwych burzach i ulewach jakie nie tylko Paryż ale i całą Francję nawiedziły, nastąpiły niebywałe upały, spiekota spowodowała mnóstwo wypadków porażenia słonecznego zakończonych śmiercią. Na wsiach nawałnice i upały narobiły wiele szkody, zbiory uważają po większej części za stracone.

Przed dwoma tygodniami przyjęto w poczet członków Akademii Francuzkiej Pawła Bourget'a. W dniu przyjęcia miał długą mowę o poprzedniku swym Marcinie du Camp, na co mu bardzo ładnie odpowiedział vice hrabia de Vogué.

Bourget jest tak popularnym i lubianym, że wszystkie koła towarzystwa paryzkiego stawiły się do pałacu Mazariniego, aby wysłuchać jego mowy. Wszyscy członkowie akademii, a nawet stary ks. d'Aumale przyjechał na tę uroczystość.

Dwa fotele jeszcze są do pozyskania a współubiegających nie brakuje.

Kongres wszechświatowy prasowy zwraca bardzo uwagę na siebie, komisya wyznaczona w tej sprawie postanowiła, aby kongres w tym roku odbył się w Bordeaux d. 10 września, chociaż data nie została stanowczo oznaczoną, o czem doniesiono by za pomocą publikacyi we wszystkich dziennikach.

Wypracowano już i ustanowiono statuta dla głównego biura stowarzyszeń prasowych wszelkich krajów, mające na celu przeprowadzenie jednolitej, wspólnej działalności stowarzyszonych, naturalnie w sprawach czysto zawodowych, ogólnego prasowego interesu. Porządek dzienny dla najbliższego zjazdu komisya już ustanowiła.

Zakończył się też otworzony przed trzema tygodniami kongres międzynarodowy górników, najliczniej przez anglików reprezentowany. Delegatów było około 60, przedstawiających przeszło milion górników Europy.

Dzisiaj znow rozpoczyna się olbrzymi międzynarodowy kongres więzienny, mający być z wielką wspaniałością podejmowany przez prezydenta rzeczypospolitej i przez sądownictwo na koszt miasta, uczestników przybyło już około 100, kongres ma trwać dni kilkanaście. Nawet Japonia ma swego przedstawiciela na tym kongresie. Na przyszły rok przygotowywa się międzynarodowy kongres kobiety.

Sport cyklowy zajmuje coraz więcej miejsca w życiu towarzyskim tutejszem. Kto tylko może nabywa żelaznego rumaka i zostaje cyklistą. Tak gwałtowny wzrost tego sportu wywołał potrzebę wzniesienia specjalnego domu ćwiczeń, muzeum i klubu cyklistów; pod nazwą Palais-Sport, towarzystwo akcyjne wzniosło wspaniałą budynek, złożony z parteru i dwóch pięter. Komfort i elegancya składają się na jego wykonanie. Proszę sobie wyobrazić na parterze skład cykłów, czytelnię i olbrzymi tor do ćwiczeń. Na pierwszym piętrze dwa tory, gabinety dla dam przebiegających się w kostiumy sportowe, restauracya i kąpiel.

Drugie piętro najwspanialsze, z olbrzymią wysoką kopułą, pod którą wielki tor okrągły, od niego zaś idzie wężowato w górę szeroka droga, mająca przeszło 100 metrów długości, wijąc się pomiędzy ślicznym krajobrazem, nader zręcznie jako panorama namalowanym przez dwóch artystów Rubego

żądał, a sumę z pożyczki akurat odebrał i na ręce płacił.

Czyn do którego, otumaniony, dał się w dobrej wierze pociągnąć — teraz, wobec córki zagryzł go w sumieniu nagłym wyrzutem.

— Widzisz... musiałem! — rzekł na usprawiedliwienie, a zdławionym głosem, jak człowiek, któremu nogą piersi gniotą.

— Ty sobie i tak poradzisz, — dodał wszakże już swobodniej, zacierając ręce z dobrodusznym wyrazem twarzy...

Wacław nazajutrz do dnia cichaczem opuścił miasto...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Wśród nocnej ciszy.

I.

Wśród nocnej ciszy wraca myśl
Za siebie, w przeszłość, w dal,
I szukać pragnie szczęścia chwil,
Przezroczych życia fal...

Lecz fale mętnie płyną wciąż,
Wydając jęk i zgrzyt, —
W ich mętnym wirze ginie myśl, —
Na niebie — błyska świt.

II.

Cudowna letnia noc —
Dokoła cisza głucha,
A gwiazd złocistych moc
Na ciemnym niebie lśni...
Tęsknota, niby rdza,
Znow trawi mego ducha
Przenika serce me,
Jak najsmutniejszych dni.

Księżyc srebrny blask
Przez liście się przedziera
Kwitnących w parku lip
Dolata cudna woń, —
I cichem szczęściem tchnie
Ta letnia atmosfera,
W mem tylko sercu ból,
I moja pała skroń...

III.

I znow się serce rwie z tęsknoty
Do życia naprzód, w świat...
A z nad szpitala księżyc złoty,
Jak ja samotny, opuszczony,
Do moich zajrzał krat.

Wędrując, wstąpił w tamte strony,
Gdzie z Tobą biegł nam czas, —
Stał domek, winem umajony,
Czerniały smutno stare płoty, —
Nie było dwojga nas...

Selim.

i Moisson'a. Na otwarciu Pałacu-Sportowego zebrał się cały elegancki świat paryzki, mnóstwo dziennikarzy i artystów. Wszyscy przepowiadali zakładowi wielkie powodzenie.

Jak sport końowy stoi we Francji, można się choćby z tego przekonać, że wyszedł obecnie cyrkularz ministra wojny generała Zurlindena, który oficjalnie wprowadza bicykle do armii — w przewidywanym ważnych usług jakie cykliści mogą oddać. Cykularzem tym, minister wprowadza odpowiednie lekkie umundurowanie i uzbrojenie — przytem wyraża życzenie, aby każdy oficer umiał jeździć na welo-cypedzie, dając im prawo, na jeżdżenie na bcyklu nawet w uniformach.

Nadto rada miejska uchwaliła 10,000 fr. na doroczną międzynarodową wielką nagrodę cyklistów.

Projekt wżiesienia pomnika Chopinowi w parku Monceau, zaczyna się urzeczywistniać. Pomnik ma być postawiony z funduszy zbieranych drogą międzynarodowych składek — których zebraniem ma się zająć zarząd Crédit Lyonnais.

Pod kierunkiem Andrzeja księcia Poniatowskiego zaczęto wydawać nowy miesięcznik *Révue Franco-Américaine*, mający za zadanie połączenie umysłowe tych dwóch światów. W pierwszym zeszycie widnieją nazwiska Daudeta, Mendés'a, Barrés'a, Tolstoja i wielu innych.

W salonie na polach Elizejskich rozdano już nagrody i medale. Zadanie było trudne, dzieł bowiem wybitnych brakuje. W sekyi architektonicznej nie dano żadnego medalu. Nie ma też tego roku honorowego medalu. Z malarzy odznaczono tym zaszczytnym znakiem starego Ernesta Héberta w dowód uznania dawnych dzieł jego.

Zaszczytne wyróżnienie dostało się również rzeźbiarzowi Bartholdiemu za monumentalną grupę wyobrażającą Szwajcaryę pocieszającą Alzację. Bardzo przychylnie przyjętym przez publiczność i krytykę został malarz warszawianin p. Władysław Nałęcz, ma on duży pejzaż w salonie na polach Elizejskich, a oprócz tego wystawił na Avenue de l'Opera niedawno wykończony bardzo ładny obraz. Wystawa dzieł znakomitego Corot'a cieszy się wielkim powodzeniem, dochód z niej przeznaczony jest na wzniesienie pomnika wielkiemu pejzażyście.

Muzeum w Luwrze wzbogaconem zostało wspaniałym darem p. Grandier, który ofiarował swój pyszny zbiór porcelany chińskiej, zgromadzonej od lat 20. Otwarto już urzędownie przeznaczone na ten zbiór sale, których kustoszem został wspaniałomyślny ofiarodawca.

Plan szczegółowy przyszłej paryzkiej wystawy jest bardzo interesującym — na szczególne wyróżnienie zasługiwać będzie pałac elektryczności zbudowany ze szkła, co mu nadawać będzie wygląd olbrzymiej latarni. Kolej elektryczna ma być również zaprowadzona. Słowem coraz to nowe cuda zapowiadają o wystawie.

Obecnie i tak nam rozmaitych nadzwyczajności nie brakuje, przed kilkoma dniami zajmowano się gorącą wyścigiem ekipaży samoruchowych. Konie zastępowała para, nafta lub elektryczność. Wynik ogólny wyścigów wypadł bardzo pomyslnie. Zwycięzcą został p. Levasor, przebywszy na swym powoziku naftowym 1,200 kilometrów, w przeciągu 50 godzin, czyli że robił trzy mile na godzinę. Zapanaowało też przekonanie, że za lat kilka koń będzie jedynie przedmiotem zbytku. Co prawda to potrzeba, aby jeszcze wiele udoskonalen wykonano w tym kierunku, inaczej zawsze będzie królowała elegancja, szybko pędzący zaprzężony ognistymi rumakami, wygodny powozik.

I na kolejach ma nastąpić ważna zmiana, mianowicie zarząd kolei państwowych, postanowił usunąć w wagonach wszelką miedz i żelazto, zastępując je przez aluminium, przez to znakomicie ubędzie ciężaru wagonów.

Ze świata oficjalnego mamy do zanotowania ostatnią podróż prezydenta do Bordeaux, która znakomicie się udała. Feliks Faure umie sobie zjedynować popularność i serca ludzkie, opowiadają kilka anegdot z ostatniej wycieczki prezydenta, który kilka razy mieszał się między tłumy ludzi, witając się z dawnymi towarzyszami wspólnej pracy. Pewnej grupie robotników przedstawił swego małego wnuka, to też entuzjazm był wielki, a okrzyki na cześć

prezydenta i rzecyzpospolitej płynęły z tysiąca piersi.

Wielkimi ceremoniami obchodzono też w poniedziałek ubiegły, rocznicę tragicznej śmierci Carnota. Ceremonia urzędowa odbyła się w Panteonie, druga urzędową była przez pozostałą wdowę w kościele św. Magdaleny.

Na placu Panteonu gwardya republikańska z trudnością utrzymywała w należytem porządku cisnące się tłumy.

Na stojniach prowadzących do wnętrza Panteonu stało wojsko z dobytymi szablami.

Faure przybył tam o god. 10 i zaraz rozpoczął pochód. U wejścia do grobowca, w którym spoczywa Carnot, przyjęli Faure synowie zmarłego prezydenta, po uściśnieniu im ręki prezydent odezwał się w te słowa: „W imienia rzecyzpospolitej w dzień ponawiający żałobę, składam na grobie prezydenta Carnota ten wieniec,“ mówiąc to wziął z rąk woźnych niosących na poduszce wspaniałe dębowy wieniec, i własnoręcznie złożył go na sarkofagu.

W kościele św. Magdaleny ceremonia odbyła się niemniej uroczysto.

Fronton kościoła zawieszono kirem lamowanym gronostajami — w pośrodku mieściła się tarcza z napisem „Honneur Patrie,“ okolona sztandarami pokrytymi kirem.

Wewnątrz wspaniałej świątyni, w lewej trybunie, siedziała pani Carnot w gronie dam. Synowie zmarłego stali w pobliżu wielkiego ołtarza. Na ceremonii był obecny Casimir Perier, wkrótce za nim przybył wprost z Panteonu prezydent rzecyzpospolitej.

Po ceremonii p. Feliks Faure uściął dłonie synom Carnota, a wślad za nim poszli wszyscy zebrani. Podczas Mszy św. celebrowanej przez proboszcza kościoła św. Magdaleny kr. Hertzog, przygrywała orkiestra gwardyi republikańskiej.

Z nastoju zgromadzonych poznać było, iż prezydent Carnot piękna pamięć po sobie pozostawił.

Obiecując sobie wkrótce, zrobić wycieczkę po nad morze, w przyszłej korespondencyi podzielię się z doznaniem wrażeniami z łaskawymi czytelnikami *Bluszcza*.

C. H.

Wrażenia jesienne z Japonii.

Święte miasto Kioto

przez

PIOTRA LOTI.

(STRESZCZENIE).

(Dalszy ciąg).

VII.

Świątynia Dai-Butsu (wielkiego Buddy) zdaje się być świątynią śmiechu, wielkim żartem, dla rozweselenia wierzących. Z postaci wielkiego Buddy widzi się tylko głowę i ramiona, które wzięte razem mają przynajmniej trzydzieści metrów wysokości, i wyglądają jak gdyby wychodziły z pod podłogi; bożek wyciąga szyję, jak ktoś, wydostający się z trudem z głębi ziemi. Zajmuje cały obszar świątyni, a kędziawawe włosy sięgają dachu.

Jak do wszystkich bożków prowadzi do niego cały szereg schodów, portyków, dziedzińców. Przy wejściu do świątyni, nie można pojąć od razu, co znaczy owa góra złota, bezkształtna massa, (ramiona Buddy), którą się widzi przed sobą. Podniósłszy oczy w górę, spostrzega się w przestrzeni kolosalną złotą głowę, i wielkie, groźne oczy, spoglądające z wysokości trzydziestu metrów z niewzruszonym spokojem.

Podczas tej ostatniej pielgrzymki nie byłem sam; towarzyszyła mi zacna, jakas japońska rodzina z prowincyi, zwiedzająca po raz pierwszy święte miasto; pocziwi ludziska byli zachwyceni, a zwłaszcza kobiety nie mogły się uspokoić na widok tak wielkiego bożka; dawały się słyszeć powstrzymywane okrzyki ach, i och, oraz przytłumiony chichot. W istocie figura Buddy zanadto była śmieszna, ze swą bocianią szyją i niewzruszonym spokojem; pocieszna jak te bałwany ulepione ze śniegu przez chłopców na rogach ulic, komiczna jak olbrzymia karykatura, której wykonanie powierzono małemu dziecku. Przytem ci pocziwi ludzie z prowincyi, którzy wybuchali śmiechem w obliczu bożka, a przedtem łzy wlewali; wszystko to pobudziło do śmiechu innych zwiedzających, a nawet bonzów mających dozór w świątyni. Zwrócono uwagę na mnie, zapewne dla zobaczenia, jak ja się zachowam; wesołość i mnie się udzieliła, było to nieuniknione. Cóż za kraj ta Japonia, gdzie wszystko jest tak dziwaczne i sprzeczne! Czyż podobna wyobrazić sobie, że ten mały, lekkomyślny ludek ze swemi pokłonami i wiecznym śmiechem, mógł przez całe wieki, odcięty od świata, żyć wśród tych dzikich tajemnic i wytworzyć tysiące owych świątyni z ich potworami i okropnościami?

Za złożeniem dwóch sous nabywa się prawo obejść figurę Buddy wokoło, wstępuje się na spadziste deski, prowadzące z tyłu kolosu, aż do jego karku. Znalazłem się tu znów w towarzystwie podróżującej rodziny; deski stare, spruchniałe, pełne szpar, ślizkie wzbudzały u poci pięknej obawę, wywyciągnąłem więc rękę, aby paniom dopomóc, i odtąd byliśmy w najlepszej przyjaźni. Za olbrzymią głową, w ciemnym kącie, klęczał stary bonza; za cenę jednego sous, pokazał nam ryszstunek i przyłbicę, któremi posługiwał się wielki Taiko-Sama; następnie otworzył nam kilka starych szafek, w których przechowywane są bożyszcza o zwierzęcych głowach, i inne przerażające świętości. Tu nikt się już nie śmiał.

Na dziedzińcu tej świątyni mieścił się największy ze wszystkich dzwonów w Kioto; obwód jego wynosi najmniej sześć do ośmiu metrów. Wprowadza się w ruch za pomocą olbrzymiej belki, żelazem okutej, w rodzaju taranu, zamieszczonego poziomo w powietrzu na powrozach. Za dwa sous, można samemu spróbować tej przyjemności; zaprząłem się w rzemienie, a natychmiast otoczyła mnie gromadka ciekawych, zwłaszcza mnóstwo dzieci. Dwoje czy troje dziewcząt pośpieszyło mi nawet z pomocą, zaprzęgnąwszy się ze mną, lecz śmiejąc się, ciągnęły w przeciwną stronę; siły ich dorównywały siłę trzech dobrych kotów, więc przeszkadzały mi tylko.

Olbrzym jednak ustąpił, i puścił się w ruch. Bum! bum! odezwał się przerażający, jakgdyby z próżni wydobywający się ton, którego drgania rozlegały się jak dźwięki orkiestry; zapewne w całym mieście słyhać je było. Obecni wydawali się uszczęśliwieni, zachwyceni! Wszystko śmiało się, radowało.

*

*

*

Z nadejściem wieczoru jest się cokolwiek odurzonym temi wszystkimi dziwami, które się tu zwiedza, i znużonym szaloną jazdą w małym podskakującym wózku, w którym otrzymuje się szturchańce za każdym kamieniem przy drodze. Najwięcej jednak nuży nieskończona jednostajność małych japońskich uliczek, tysiąca zupełnie jednakowych małych szarych domków, stojących otworem niby szopy, jak gdyby dla pokazania jednakowego wszędzie urządzenia domu, te same białe maty, te same przyrządy do palenia, te same małe ołtarze, poświęcone przodkom. Jak wstrętnymi są wszystkie te zapachy, właściwe siedzibom żółtej rasy; te potrawy z ryżu, moschus i niewiem sam z czegojeszcze. A wszyscy ci ludzie oglądają się za tobą, aby cię, jak dzikie zwierzę z menażeryi obejrzyć; zwłaszcza młode kobiety bardzo ciekawe tworzą zaraz zbiegowisko, gdzie tylko się zatrzymasz, wszystkie podobne do siebie; żółte, dzieciinne, z ładnymi oczkami i niewyraźnymi rysami twarzy właściwymi szkiom. A zawsze ta sama uprzejmość, ten sam śmiech. Stopniowo opanowują niepokonana odrętwiałość, pod wpływem tego wszystkiego.

A te świątynie, które się zwiedziło. Wszystkie te postacie bożków uśmiechnięte, lub gniewliwe, groźne dziwolągi z nieruchomymi wykrzywionymi twarzami, sztywnymi, powykrecanymi członkami; wszystkie te straszne symbole. Wszystko to w końcu gmatwa się, łączy w jedną całość i przeobraża jak w śnie.

Najbardziej ponure i przykre ze wszystkich są świątynie bożka ryżu. Bardzo małych rozmiarów, ukryte zwykle w zakątkach, lub pod drzewami, robią wrażenie nędznego mieszkania, po większej części proste i nieobrobione, tworzą rażący kontrast z wyszukaną wspaniałością innych świątyń. Na drewnianych ich kratkach widzi się pełno przycepiionych lub przywiązanych świstków papieru, są to modlitwy i czarownicze zaklęcia.

Wewnątrz tych świątyń nie widać nic, prócz złych i chytrych białych lisów, przedstawionych według uświęconego zwyczaju w siedzącej pozycji, ze szpiczastymi jak szakale uszami, pomalowanymi w środku na różowo, z bladym pyskiem i wyszczerzonymi szpiczastymi zębami, trzymającymi jakiś tajemniczy złocony przedmiot, jak gdyby w śmiertelnej walce; na ołtarzach powtarzają się te same lisy, w zmniejszonych rozmiarach, przypatrują się sobie nawzajem od czasu do czasu, spada jeden z nich i w proch się rozsypuje.

Nie wiem właściwie, jakie znaczenie ma ten złocony przedmiot, trzymany w szpiczastych zębach tych ołtarzowych lisów.

VIII.

Całą podróż moją opromieniają ostatnie blaski lata; zrana smugi jasnego słońca wkradają się do mego pokoju przez okna otwartej werandy. Widuję ztąd w ogrodzie na uboczu, sąsiadki, dwie nipońskie damy, pieszczące się z sobą, oraz ich maleństwa bawiące się latawcami, przedstawiającymi brzuchate postacie Buddhy.

Zdumienie moje było bez granic, gdy spostrzegłem jeszcze w tym mieście olbrzymią świątynię, której budową zajmowano się. Nie było żadnej nagłej ku temu konieczności, gdyż i tak istnieje tu około trzech tysięcy świątyń.

Nowa to sprzeczność u tego narodu, opanowanego nagle wpływem pary i postępu.

Świątynia ta nie będzie się różnić od dawniejszych, ani wielkością ani przepychem. Las filarów wznosi się z pośród fundamentów, a na każdy z nich użyto olbrzymie, rzadkie drzewo, co wielkich wymagało nakładów. Wszystkie te części z drzewa, wykonano z drobiazgową starannością, z dokładnością maszyneryi zegarka; fugi, delikatnie wyrobione cypły, pokryte są prowizorycznie białym drzewem, aby deszcz, słońce, lub ręka przechodnia, nie uszkodziła nic ze zdumiewającego ich dopasowania. Zapewne cała gromada robotników przygotowuje już wazy, świeczniki oraz wspaniałe figury bożyszczy o nieruchomej postaci, i uśmiechu przed tysiącem lat powstałym.

Moi djinowie są niskiego wzrostu, jak wogóle Japończycy, mają na głowie, jak wszyscy djinowie szerokie kapelusze w kształcie parasola, ubrani są w krótkie kaftany z rękawami, jak pagody niegustownie i pstro, do czego przyczyniają się rozmaite napisy, skreślone na plecach ich kaftanów ogromnymi nipońskimi literami. Nie noszą ani spodni, ani koszuli; wazki pas materiału, związany we właściwy sposób zastępuje w wszystko. Nogi ich nagie prawie do bioder odznaczają się pomimo żółtej skóry plastycznością, ze swemi wydatnymi muskułami i ścięgnami.

Moi djinowie nigdy nie są zmęczeni, nigdy bez tehu. Podczas jazdy pod górę występują im krople potu na piersiach, wtedy zrzucają swoje kaftany. Przy zbliżaniu się do tłumu, krzyczą, aby zwrócono na nich uwagę, lecz biegną nie zatrzymując się wcale, gdyby nawet groziło im stratowanie ludzi.

Jestem w najlepszej zgodzie z Kalakawą, djinem biegnącym na froncie, towarzyszy mi on do świątyń i sklepów i udziela objaśnień po japońsku, lecz tak wyraźnie, że bez trudu zrozumieć go mogę. Jest bardzo układny, i obeznany z historią, nauką o bożkach i legendami. Drugi djin Hamanichi, za-

przeżony w dyszlu jest milczący i nieokrzesany, stosunki nasze, jakkolwiek uprzejme są chłodne, a nawet cokolwiek naprężone.

*
*
*

Miasto nabierało coraz bardziej ponurego pozoru, dzielnice coraz odludniejsze, wydawały się jak zamarte, im więcej zbliżaliśmy się do świątyni „Wo-łu.“ Wznosiła się w oddali, prawie na otwartym polu, po za miastem, na samym krańcu nędznego wydłużonego przedmieścia. Trzeba było przynajmniej godziny szalonej jazdy w djin-richi-cha, aby dotrzeć do jej wejścia.

To przedmieście było prawdziwą dawną Japonią, starą, strupieszalą, czarną Japonią. Małe drewniane domki wyglądały jak gdyby groziły zawaleniem już od setek lat, dziwaczne belkowanie zrzucone, połupane, na części rozpadłe, wszystko jakgdyby opuszczone; nigdzie żywego ducha.

Przezuwało się jednak bliskość wielkiej świątyni, w której musiało się odbywać uroczyste nabożeństwo, gdyż stosownie do przyjętego zwyczaju podczas religijnych obrządków, z obydwóch stron ulicy ustawiono postumenty z zawieszonymi na nich latarniami, w odstępach kilku kroków, i w szeregach nieprzejranej długości. Latarnie były to olbrzymie balony pomalowane w czarne latające nietoperze. Tak dziwna ozdoba nie przyczyniała się do nadania weselszego pozoru, smutnej i tak dzielnic; przeciwnie patrząc na te ponure otoczenie, na te nieskończone rzędy latarni, ozdobionych mocnymi ptakami, w miejsce kwiatów nastęrczało oię przekonanie, że odbywają się przygotowania do jakiego wielkiego święta umarłych, na które wierni tylko się w nocy zbierają.

Otóż zapewne jesteście u celu, gdyż ciemne jakieś masy, ukazały się naszym oczom; wysokie stoletnie wierchołki gajów bóstwom poświęconych.

Uwydatniają się także pierwsze kolumny; granitowe w tym starożytnym religijnym stylu, spotykany tylko w pagodach wiejskich świątyniach zagrzebanych w lesnym ustroniu. Ukształtowanie się tych form sięga prawdopodobnie bardzo odległej, oddawna zaginionej przeszłości, gdyż nie mają nic wspólnego z charakterem narodu; styl to surowy, poważny, a przede wszystkim uderza prostotą, robi wrażenie czegoś niewidzianego.

Należałoby te kształty odrysować, gdyż opisać się nie dadzą; dwie masywne kolumny, jak dwa olbrzymie słupy w kształcie kregli, rozszerzające się ku podstawie i połączone w górze prostą belką; nieco wyżej łączy je druga belka zgięta, i wystająca z obydwóch stron szpiczasto, tworząc półksiężyc; oto wszystko—najmniejszej ozdoby, najmniejszego plastycznego upiększenia, całość przedstawia się mistycznie, dziko, przypomina egipskie pylony i celtyckie kamienne pomniki, odbija rażąco od sztucznych skomplikowanych przedmiotów otaczających dokoła.

Po za kolumnadą następował szereg potworów, stojących z obydwóch stron przejścia na kamiennych podstawach. Wielkie drzewa rozpościerały po nad tem cieniste swe gałęzie, tak poplątane, jak nieraz bywają ramiona bożyszczy.

Powtarzały się tu znów potężne tygrysy z granitu, siedzące na tylnych łapach, z rogiem na nosie jak nosorożce i tak jak one szczerzące zęby w przerażający sposób. Olbrzymie łapy miały poobwiązywane, jak gdyby zranione; były to modlitwy na białych paskach ryżowego papieru, przyniesione dla złagodzenia gniewu bożków.

Następnie ukazywały się byki w nienaturalnych rozmiarach, z granitu, bronzu, lub kosztownego prążkowanego marmuru, dalej szeregi grobów lub wysokie postumenty z latarniami, podobnymi do chińskich wieżyczek.

Wśród tych nadzwyczajności przechadzali się ludzie w orzeźwiający cieniu świętego lasu. Im dalej posuwaliśmy się, tem liczniejsze spotykaliśmy grupy spacerujących; to rozjaśniło mi dlaczego przedmieście było tak puste; wszyscy mieszkańcy zgromadzili się tu z powodu uroczystości świątecznych; niektórzy przyszli zapewne zdaleka, gdy i wkrótce zapanował natłok, lekkomyślne, dziecinne zbiorowisko ludzi, na wzór tych, których—widujemy na wachlarzach i filiżankach z porcelany, wyglądali

jakgdyby w stanie podniecenia i śmieli się na głos. Próżne były ich usiłowania, aby się przedstawić oryginalnie, tworzyli rażący kontrast z cieniem tego lasu, zamieszkałego przez groźne zwierzęta.

Mnóstwo przechadzało się kobiet ze sztucznie kwiatami, wpiętymi we włosy. Tiuniki, opięte w dole koło nóg, długie rękawy, jak pagody, długie przepaski bufiasto upięte, u wszystkich się powtarzały; drewniane, stukające trzewiczki, uważane tam za szczyt elegancji. Przymilano, się i przewracano małymi skośnymi oczętami, z figurą przechyloną na przód, w pogotowiu do najwzdzięczniejszego ukłonu.

Mężczyźni w długich niebieskich szatach, wielu z obnażonymi nogami, bonzowie w obłokach brunatnego muślinu, w olbrzymich kapeluszach, pod którymi niknęły zupełnie ich oblicza, szli wolnym krokiem, z wyciągniętą dłonią, zebrząc przy akompaniamencie tysiąca dzwonek. Gromady dzieci prowadzących się za ręce, małe chłopczki grube i tłuste, małe panienki już, jak damy postrojone, z kwiatami i dużymi szpilkami we włosach. Te japońskie maleństwa tak szkaradne później, ładne są póki małe, lecz śmieszne zarazem, ze swemi przesadnie skośnymi oczami, w szerokich swych pstrakowych sukniach, z ogoloną głową, na której miejscami pozostawiono nieliczne kosmyki włosów.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Dla podniesienia przemysłu niewieściego po wsiach, ministerium rolnictwa, rozsyłać będzie próby nasion rozmaitych jarzyn, pożytecznych w gospodarstwie domowym, wraz z instrukcją ich uprawy. Wystawy okazów wyprodukowanych, mają być urządzone w terminach odpowiednich z nagrodami tak w medalach i świadectwach, jak i w pieniądzu.

— Komitet naukowy przy ministerium rolnictwa, postanowił utworzyć na wystawie przemysłowej oddział osobny, obejmujący okazy pracy kobiecej w zakresie pedagogicznym z celem rozwoju umysłu dzieciennego w kierunkach rozmaitych. Mieścić się tu będą książki, oraz okazy zabawek dzieciennych rozwijających pomysłowość i budzących pragnienie wiedzy.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła na ostatnim swem posiedzeniu z wyłączeniem praw osób trzecich zapis testamentowy s. p. Emilii Fukierowej, przeznaczający 7.500 rs., na rzecz kasy wsparcia ubogich wdów i sierot po lekarzach, istniejącej przy warszawskim Towarzystwie lekarskim.

— Helena B., zamożna ziemianka, zamierza wytworzyć miejscowe towarzystwo oszczędności, którego wkłady mogą się ograniczyć do najdrobniejszej kwotki, choćby kilku groszy. Gromadzące się z tego sumki, zostaną obrócone na zakup listów zastawnych Ziemskiego Tow. Kredytowego. Już kilka kobiet wiejskich, komornic, oświadczyło chęć przystąpienia do towarzystwa.

— Julia Gałęzowska ze Słazów skreśliła odezwę, która wkrótce ukaże się w druku, a w której wzywa ona wszystkie panie ziemianki, aby przyjęły licznie udział w wystawie zapowiedzianej przez Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze, obejmującej okazy owoców, warzyw, roślin farbiarskich. Wzrost ogrodnictwa, jako ważnej gałęzi przemysłu w gospodarstwie wiejskim, ma duże znaczenie swoje tak pod względem zarobkowym, jak i dobrobytu rodzin. Ostatni dział ogłoszenia warunków wystawy, wyznacza nagrody za okazy narzędzi i przyrządów służących do celów pracy ogrodniczej i mających związek z gospodarstwem ogrodniczym. Gotowe druki do wpisywania zawiadomień o zamiarze wzięcia udziału w wystawie, mieszczą zarazem i rozkład wystawy, a dostać je można na żądanie w biurze Towarzystwa ogrodniczego (ulica Bagatela, Nr. 31) lub w redakcyi „Gazety Świątecznej.“

— W salach rysunkowych przy Muzeum rzemieślniczym wystawiono ogromną liczbę okazów rysunkowych, przeważnie owoc pracy ludzi, a którzy po całodziennych trudach w kierunkach rozmaitych spędzali tu chwile wieczorne dla zapoznania się ze stroną artystyczną swego rzemiosła i zespolenia jej z wymaganiami sztuki. Oko mogło się tu gubić w mnóstwie różnych rysunków i świeżo zakupionych modeli, których kopiowaniem zajmowało się wiele kobiet, z pośród których p. Żochowska odznaczyła się poprawnie malowanym gobelinem, ujawniającym talent. W zakresie sztuki stosowanej wyróżniły się przedmioty malowane na jedwabiu i drzewie p. p. Twarowskiej i Tarnopolskiej.

Wystawa zmarłej już rzeźbiarki, Antoniny Roźniatowskiej, urządzona w Krakowie w Sukiennicach, wykazuje jakim był jej talent, ponieważ wszystkie jej biusta i medaliony: Blizińskiego, Baranieckiego, Modrzejewskiej, Mierzwińskiego znalazły nabywców.

— Stowarzyszenie kobiece w Galicyi, wniosło do Wiednia petycją za pośrednictwem profesora Sokolowskiego o dopuszczenie ich do studiów na uniwersytetach krajowych. W początkach roku szkolnego 1894—1895 pięćdziesiąt dwie kobiety zwróciło się do senatu akademickiego w tej sprawie, odpowiedź była przecież odmowną, ponieważ ministerium oświaty zabroniło w 1878 r., przyjmować kobiety do słuchania wykładów, chyba w charakterze hospitantek i trzy takich uczęszcza do uniwersytetu. Lecznice, w liczbie trzydziestu trzech, wyjechały na studia do Szwajcaryi i Paryża, że przecież kobiety nasze pragną zdobywać sobie naukę w miejscu rodzinnym, gdzie je otacza opieka rodziców, lub krewnych, wreszcie obyczaj swojski, wysłały one do ministra oświaty Matejskiego deputacją, która chociaż bardzo życzliwie i uprzejmie została przyjęta, a nawet minister oświadczył, iż jest przychylny wyrażonym tu żądaniom, reskrypt cesarski z 1878 r., zabraniający kobietom studiowania na uniwersytetach krajowych, stoi dotąd w mocy swojej. W skutek tego kobiety galicyjskie, wniosły podanie do ministerium spraw wewnętrznych, aby im otwartem było przypuszczenie do zawodu lekarek, aptekarek, profesorów i innych podobnych zajęć, aby im było dozwolone studiowanie na uniwersytetach krajowych na prawach równych z mężczyznami. Petycja tę podpisały stowarzyszenia: Stowarzyszenie pomocy naukowej dla polek imienia Kraszewskiego, Czytelnia w Krakowie dla kobiet, Czytelnia dla kobiet we Lwowie, Stowarzyszenie nauczycielek we Lwowie, Związek koleżeński byłych seminarzystek i nauczycielek we Lwowie.

— Wrocławski senat uniwersytecki postanowił wraz z rektorem, aby kobiety, które złożyły egzamin nauczycielek szkół wyższych, przypuszczonemi były do słuchania wykładów w charakterze hospitantek.

— Angielskie stowarzyszenie niewieście sztuki i przemysłu urządziło w Londynie wystawę przemysłu i pracy kobiecej w ogóle. Księżna Walii i jej córki, księżna Yorku, księżna Teck, zwiadały wystawę z uwagą zwróconą tak na rozwój artystyczny kobiecego, jak i rzemieślniczego, mogących zapewnić kobiecie byt. Dział pracy gospodarstwa domowego, przedstawił się bardzo bogato i jakkolwiek przemysł angielski jest silnie rozwinięty, kobiety zwłaszcza szkocki i irlandzki przedstawiły wiele przedmiotów domowego wyrobu, a jedna z nich, Marya Aniela Grey, płótno tkane w domu.

Na ostatniem zebraniu Angielskiego Stowarzyszenia geograficznego dziewiętnaście kobiet otrzymało nagrody obok jednego tylko mężczyzny. Wytłomaczyć to tem można, że mężczyzna, zwiadzający strony świata dalekie, zajmuje się więcej utilitarną stroną rzeczy, gdy kobieta zapatruje się na otaczające ją przedmioty z punktu obyczajowego.

— Pionierką lekarskiego zawodu w Stanach Zjednoczonych była Anna Langshore Potts. Brat jej był lekarzem, a gdy poznał nie tylko jej staranną ale i roztropną pieczołowitość w doglądaniu chorych, powziął myśl wytworzenia lekarskiego zawodu dla kobiet i założył pierwszą taką szkołę, gdzie kobiety mogły nabywać odpowiedniej wiedzy. Miss Anna miała lat dwadzieścia dwa, gdy leczyć zaczęła, brat oddawał jej część swoich pacjentek, lecz wyszła za mąż wkrótce za bogatego kupca, Karola Potts, nie zaniebając obecnemu zawodu, chociaż mąż wywiózł ją w strony inne, do Michigan, gdzie wkrótce zyskała sobie sławę umiejętnej i starannej lekarki, poszukiwanej szczególnie przez kobiety. Obok tego zajmowała się bardzo gorliwie leczeniem ludzi ubogich, robotników, robotnic i miewała w kołach kobiet mniej zamożnych, więc i mniej wykształconych, odczyty z zakresu higienicznego wychowania dzieci, a zarazem, jak kobieta może zająć stanowisko wpływowe tak w świecie, jak w rodzinie. Do dziś dnia zajmuje się leczeniem, ale wyłącznie kobiet niezamożnych, od których nie przyjmuje żadnego honorarium.

— Japonka, Tadzū Supiye, pragnąc takiej oświaty, jaką posiadają kobiety europejskie, przybyła do Anglii z zamiarem kształcenia się w szkołach tutejszych i po odbytych studiach w wyższej szkole panien, w Wellesley, wzniosła podobną w ojczyźnie swojej, w mieście Osaka, gdzie wykłada w japońskim i chińskim języku historią literatury i języka angielskiego, obok tego redaguje miesięcznik poświęcony wiadomościom ogólnym o ludziach i świecie, o historii europejskich społeczeństw, a nakoniec uczy zarządu domu i gotowania wedle układu życia europejskiego.

Z bieżącej chwili.

— Petersburskie Wiadomości donoszą, iż rozpoczęła się już dostawa do Niżnego Nowogrodu różnych ozdób i orłów metalowych, przeznaczonych do przybrania wystawy.

— Na torze kolei niżałajewskiej i bałtyckiej lokomotywy opalane będą od początku roku przyszłego naftą.

— W Moskwie ma się odbyć czwarty z kolei zjazd przedstawicieli kolonii poprawczych. Otwarcie zjazdu nastąpi d. 27 sierpnia.

— Warszawskie Towarzystwo przeciwzbrodnie nie jest zdolne pomieścić w przytułkach noclegowych cisnącej się tam ludności ubogiej, co wzmoże się jeszcze, skoro przytułek noclegowy, mieszczący się na Rybakach w domu najętym, będzie musiał być zamkniętym. Towarzystwo zwróciło się do władzy miejskiej z prośbą o udzielenie mu na gruncie miejskim wprost ulicy Leszczyńskiej placu pod budowę nowego przytułku. Jeżeli żądanie to nie zostanie uwzględnione, nowy przytułek zostanie wraz z domem zarobkowym w ciągu roku przyszłego, wzniesiony na wzór przytułku na Pradze.

— Garkuchnia dla ubogich, mieszcząca się na Szerokim Dunaju, jest pomieszczoną w punkcie nie dość dogodnym dla ludności, która by tam uczęszczać pragnęła, powziętym też został zamiar przeniesienia jej na Sewerynow, jeżeli właściciel, ks. Czetwertyński, przychyli się do tego.

— Wskutek zabiegów warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej utworzoną zostanie we wsi Drewnicy pod Warszawą stała kolonia letnia

dla 70 dzieci, wychowywanych w domu, mieszczącym się przy szpitalu Dzieciątka Jezus.

— Do komitetu higieny ludowej przyszłej wystawy higienicznej w mieście naszym zapisało się 20 lekarzy z Warszawy, a 55 z innych stron Królestwa. Obok tego komitet spodziewa się poparcia w pracy od pięciu Towarzystw dobroczynności i pięciu Towarzystw lekarskich, oprócz 50 osób zaproszonych do współdziałania, których decyzja co do czynnej tu działalności jest jeszcze niewiadoma. Komitet liczy 80 członków stałych.

— Do Salonu Krywulta ściągają licznych widzów obraz wielkich rozmiarów, pędzla włoskiego artysty: Karola Vosa: „Matka nad zwłokami syna.“ Jest to obraz historyczny z dziejów Włoch w początkach XV wieku, siła wyrazu oblicza kobiety oddziaływa mocno na widza.

— Trzynaste sprawozdanie z zarządu Kasy Mirowskiego wykazuje jej majątek, liczący 241,626 rs. W stanie biernym mieści się: kapitał zasobowy, 8,250 rs., zapis Jackowskiego 15,050 rs., zapis Natansona 30,000 rs., procent od tego zapisu 3,181 rs., zapis Augustyanowicza 16,026 rs., zapis Landego 455 rs. Bagińskiego 2,840 rs., Bonasiewicza 35,091 rs., Zbyszewskiej 15,000 rs., Pileckiego 21,511, Pełowskiego 31,251 rs., na zapomogi tłumaczy dzieł lekarskich 8,557 rs. procenta: od legatu 760 rs., od zapisu Pileckiego 3,500 rs., Paprockiego 2,942 rs., nakoniec kapitał obrotowy 47,217 rs. Stan ten wykazuje, iż w ciągu lat trzynastu Kasa hojnie uposażana dochodzi ćwierć miliona rubli.

— Ksawery Gałęzowski, znakomity okulista, zamieszkały od lat wielu Paryż, a który na zaproszenie go przez senat uniwersytetu krakowskiego, aby objął tam katedrę okulistyki, przyjął rzecz chętnie i niemal wdzięcznie, że go zawezwano do pracy dla swoich i między swojami, cofnął się obecnie. Kwestya pieniężna miejsca tu mieć nie mogła, bo Gałęzowski pensyi żadnej ani emerytury pobierać nie chciał i zrzekł się tego sam, przy pierwszych układach z senatem uniwersytetu. W każdym razie rzecz to jest smutna, Gałęzowski czuje to sam i przesłał studentom uniwersytetu list, w którym się tłumaczy, że nieprzewidziane trudności stanęły tu na przeszkodzie. Jakże? nie wymienił.

— Lwowski wydział krajowy, wydał okólnik, wzywający wszystkie wydziały powiatowe do skuteczniejszej walki z kłeskami elementarnymi nawiedzającymi nieustannie Galicyę. Wydział krajowy wzywa wszystkie wydziały powiatowe, aby przedstawione mu były peryodycznie sprawozdania o stanie dobrobytu kraju, zawiadamiając każdego roku od d. 15 do 30 kwietnia, jakim jest stan oziminy, jakie były warunki prac wiosennych w polu, jakim jest przedwówek, jakie roboty publiczne oczekiwane są w powiecie, aby ludność miejscowa mogła mieć zarobek? Następnie w czasie od 15 do 31 lipca, żąda wydział sprawozdania podobnego o wyniku sianobrania, o stanie urodzaju w polu, dalej w czasie od 1-go do 15-go listopada sprawozdania o dokonanych zbiorach z dodatkiem, czy ludność włościańska posiada dostateczną ilość ziarna na zasiew, czy ma odpowiednie zapasy żywności dla siebie i paszy dla bydła? Obok tego wydział krajowy żąda, aby wydziały powiatowe zawiadamiały go o każdej większej kłesce elementarnej, jak powódź, gradobicie i podały najstarannie obliczoną minimalną kwotę koniecznego zasiłku.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römera. Przekład z niemieckiego, ark. 13 i 14.

TREŚĆ: Ingeborga Bronsart, przez M. I. — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Wśród nocnej ciszy, przez Selima. — Nowiny paryżkie, przez C. H. — Wrażenia jesienne w Japonii. Święte miasto Kioto, przez Piotra Loti (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Co jest szczęście?** powieść przez Aleksandra Römera, przekład z niemieckiego ark. 13 i 14. — Przegląd mód. 36 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.